

STARCRAFT 2: ZERGLING

„Demony wojny”

Autor: James Waugh

Zerglingi dopadły Irmshera podczas bitwy o Lawndale 12, która miała miejsce gdzieś na pogranicznych rubieżach w czasie Wojny Szczepów i nigdy nie jest wspomniana w książkach do historii.

Irmsher był jeszcze beztróskim dzieciakiem, który dopiero co skończył szkołę i jarał się na myśl o walce. Tacy jak on nigdy nie robili długich karier w Korpusie Marines Dominium. W wieku 18 lat, nie mając lepszych perspektyw, zaczął krążyć od domu do domu i sprzedawać nie posiadające licencji smartfony, aby zdobyć pieniądze na randki i spłatę czynszu. Pewnego dnia zastukał do drzwi sierżanta Roberta Maury'ego, który zajmował się rekrutacją marines dla Dominium i raczej nie był zainteresowany towarem Irma. Trzy dni później chłopak siedział na pokładzie statku transportowego lecącego do obozu szkoleniowego na Turaxis II, zafascynowany opowieściami o pełnych heroizmu starciach, legendarnych wyjazdach rekreacyjnych i chwale, jaka towarzyszyła zdobywaniu medali. Jednak walka z zergami nie do końca odpowiadała jego wyobrażeniom o początku wspaniałej kariery. Nie było nic chwalebne w oglądaniu jak mężczyźni – choć najczęściej wciąż jeszcze młodzi chłopcy – są rozrywani na strzępy wprost przed tobą; jak potwory wyrrywają im kończyny, a krew tryskająca z ust wypełnia zintegrowane z pancerzami hełmy.

W nocy, kiedy cały szwadron Rho gromadził się w przesiąkniętych wilgocią pomieszczeniach naprędce rozmieszczonych koszar, Irm wyświetlał na smartfonie zdjęcie i pokazywał je chłopakom, mówiąc:

– To dziewczyna, do której wrócę, gdy tylko skończy się ta wojna.

Była śliczną istotą o kręconych blond włosach, przytrzymywanych opaską, zgodnie z modą panującą wśród elit Marlowe. Miała na imię Mary Lou. Poznał ją kilka dni przed spotkaniem z sierżantem Maury'm.

– Ech... nie rób sobie nadziei chłopcze. Ta dziecina jest z wyższych sfer – nabijał się z niego Birch, jeden ze starszych marines. – Bardziej nadaje się dla takiego ogiera jak ja.

Spotkali się w jednym z tajnych stimbarów, które teoretycznie były nielegalne, no chyba że miało się dość kasy, żeby stać się właścicielem jednego z nich lub znało się właściwych ludzi, aby móc do nich uczęszczać. To była gorąca noc, z której zapamiętał jedynie urywki wydarzeń – tańce, zabawę, kolejne kieliszki Scotty'ego Bolgersa. Mówił innym, że się całowali. Tak przynajmniej mu się wydawało. Albo raczej taką miał nadzieję. Udało mu się zdobyć jej namiary i od tamtej pory wysyłali sobie horrendalnie drogie wiadomości międzyplanetarne. Czas mijał, Irmsher coraz dłużej przebywał na pierwszej linii walk, o krok od śmierci, a Mary Lou powoli stawała się dla niego czymś więcej niż tylko dziewczyną. Była wcieleniem pewnej idei. Reprezentowała okres, kiedy nie musiał całymi dniami nosić pancerza CMC i tłoczyć się w koszarach w towarzystwie gromady doświadczonych marines, którzy – niczym starsi bracia

– dokuczali mu za każde najdrobniejsze, „naiwne” stwierdzenie i sprawiali, że Irm nie mógł się doczekać chwili, gdy przestanie być „chłopaczkiem”. Jej zdjęcie przypominało mu czasy, kiedy jeszcze nie znał odgłosu roju zerglingów pędzącego w jego kierunku i obce mu było przecucie, że za chwilę dojdzie do jatki, a śmierć zbierze swoje żniwo. Wiedza tego rodzaju zmienia człowieka.

– Zobaczycie – odpowiadał, uśmiechając się naiwnie i wpatrując rozmarzonym wzrokiem w fotografię na ekranie, całkowicie zatracony w swoich nierealnych planach. – Tak, mówię wam, jeszcze zobaczycie.

Dzień, w którym zerglingi dopadły Irmschera, nie różnił się od pozostałych niezliczonych dni wojny. Większość z nich upływała na oczekiwaniu. Szwadron przesiadywał w bazie i wsłuchiwał się w wycie wiatru, który co jakiś czas ustępował miejsca nużącej ciszy, będącej złowrogim zwiastunem tego, co miało nadejść.

Szwadron Rho miał za zadanie utrzymać Lawndale 12 – małą stację przekaźnikową na południowej półkuli planety Anzelm. Tydzień wcześniej żołnierze wydrążyli na jej obrzeżach głębokie okopy, zbudowali bunkry i rozmieścili dwa czołgi oblężnicze. Baza miała odbierać informacje i przysyłać je flotom znajdującym się w odległych zakątkach sektora. Choć znajdowały się w niej także koszary, to marines z oddziału Rho nigdy do nich nie zaglądali. Jako że każda cenna sekunda spędzona z dala od pierwszej linii mogła oznaczać śmierć, ich domem stały się niewygodne, pełne piachu okopy.

Nikt się nie spodziewał, że zergi kiedykolwiek zaatakują Lawndale. Stacja miała znikome znaczenie strategiczne w zakrojonych na szeroką skalę działaniach wojennych. Kiedy więc dźwięk alarmu rozdarł ciszę, a sierżant Virgil Caine zaczął wykrzykiwać rozkazy, żołnierze poderwali się na równe nogi i zaczęli przygotowywać na najgorsze. Najgorsze jednak nie nadeszło. Zerglingi pędziły na pewną śmierć. Ich atak nie miał żadnego sensu. Marines mieli przewagę liczebną i jakościową. Mimo to, pozornie bezmyślne drapieżniki bez wahania biegły w ich stronę.

Można je było usłyszeć na długo zanim pojawiły się w zasięgu wzroku – ten świergoczący w uszach szum kłębiących się ciał był jedyny w swoim rodzaju.

Dlaczego atakują? Czego tu szukają? Irmscher w końcu je zobaczył – dwadzieścia żądnych krwi zerglingów. Pędziły na silnych odnóżach, z obnażonymi kłami i wzniesionymi do ataku szponami, a z ich pysków wypływała odrażająca wydzielina. Wyglądały jak wściekłe, zmutowane psy, które zostały spuszczone z kagańca przez jakiegoś okrutnego pana. Irmscher nigdy nie poznał odpowiedzi na swoje pytania. Kiedy powietrze wypełnił dźwięk wystrzeliwanych z hipersoniczną prędkością metalowych kolców, nie było już czasu na myślenie. Można było tylko działać.

Marines mogli mieć przewagę liczebną, ale było to bez znaczenia – dla zergów śmierć jednego terranina była warta nawet utraty dziesięciu zerglingów. Szwadron Rho szybko zdał sobie sprawę, jak dużym błędem był rozkaz o umieszczeniu piechoty w okopach. Kilka drapieżników wpęzło do wąskich korytarzy i sprawiło, że z racji dużych rozmiarów pancerzy CMC, wielu członków oddziału znalazło się w potrzasku – sojusznicy ogień i prowizoryczne ściany z piachu dopełniły dzieła zniszczenia.

Irmscher krzyczał, kiedy dopadły go zerglingi. Wył, gdy ostry jak brzytwa szpon przebił wizjer i wbił się głęboko w obojczyk, a drugi po chwili rozerwał pancerz jak puszkę do konserw.

Żył jeszcze, kiedy zdechły ostatnie z zergowych drani. Zastanawiał się, dlaczego zaatakowały, nie mając żadnej szansy na przetrwanie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego przyszły zabić tak niewielu, w tym jego. W miarę jak tracił przytomność, dostrzegł wystające z żył strzykawki ze stymulantami i czuł, jak bicie jego serca staje się coraz bardziej głucho i powolne, a systemy ochronne w pancerzu CMC próbują bezskutecznie zatrzymać krwawienie z rozszarpanych arterii. Zanim odpłynął w ramionach trzymającego go Bircha, na oczach sierżanta Caine'a, Irmscher zdołał jeszcze wyszteptać: – Mary Lou.

Virgil Caine krzyknął w mrok. Przez całą noc pocił się w pościeli, aż w końcu zrzucił ją z siebie. Teraz leżał nagi i było mu zimno.

– Virgil! – powiedziała Rufi, ściskając go za rękę, po czym przyciągnęła go z powrotem do miękkich poduszek i pocałowała swoimi łagodnymi w dotyku ustami. – Spokojnie, kochanie. Jesteś ze mną – dotknęła nosem jego szerokich ramion, a delikatne blond włosy opadły jak jedwab na twarde jak kamień mięśnie. Virgil ciężko oddychał, sapiąc z wysiłku. Jego pierś podnosiła się miarowo, a serce waliło jak młot.

– Cholera... Ja... przepraszam, Ru... ja...

– Ciii. Nic nie mów, kochany. Wiem, wiem.

Odkąd byli razem, zdążyła już przywyknąć do nocnych koszmarów... jego wspomnień. Kiedy się zaręczyli, postanowiła nauczyć się z nimi żyć. Przyzwyczała się do tego, że czasami musiała wycierać mu łzy. Patrzyła na płaczącego przez sen silnego, potężnego mężczyznę i ta pełna czułości sprzeczność była jedną z rzeczy, które sprawiały, że go kochała.

– Ja po prostu... One wróciły, maleńka. Nie mogę uwierzyć, że one wróciły. Wiedziałem, że kiedyś znów się pojawią, ale... nadzieja umiera ostatnia, nie?

Nie tylko ty miałaś taką nadzieję – pomyślała. – Nie wracaj do służby, Virgil. Nie musisz. Już ci to mówiłam. Podjęliśmy decyzję. Tata się wszystkim zajmie, a my zaczniemy od początku. Nikt się nie dowie, kim naprawdę jesteś. Nikt nie musi wiedzieć, gdzie byłeś. Jutro w nocy nie będziesz już musiał się tym martwić.

Zamyślił się chwilę nad jej słowami. Pomyślał, jak wyglądało by jego życie, gdyby przestał być człowiekiem, który stawił czoła zergom podczas Wojny Szczepów, przez wiele długich miesięcy odpierając kolejne fale zerglingów. Człowiekiem, któremu udało się przetrwać. Nie potrafił powiedzieć, kim by był, gdyby pozbawiono go tego fragmentu życia – już sama myśl o tym była jedną z najbardziej przerażających rzeczy, jakich kiedykolwiek doświadczył.

– Wiem, Ru, Wiem, Ale część mnie... Nigdy nie uciekałem.

– Nie uciekasz. Niech to szlag, przecież Mengsk dostał wszystko, na co było cię stać. Ma nowych marines, żeby poradzić sobie z tym nowym zagrożeniem. Zresztą, co on dla ciebie zrobił? Dla nas? To tata zapłacił za wszystkie twoje operacje, nie Dominium. Zrobiłeś swoje i wiesz o tym. Ile razy byłeś o włos od śmierci, Virgil? Ilu przyjaciół straciłeś?

– Nie chcę już o tym rozmawiać – myślał o wiadomościach UNN, jakie obejrzał przed pójściem spać. W głowie pojawiły się *ich* obrazy – hordy siejącej zniszczenie na Tyrii, zalewającej kolejne linie żołnierzy. Przypomniawszy sobie o zębach, szponach i tym przerażającym, harmonijnym świergocie, jaki wydawały podczas szarży.

– To ponowne wezwanie do służby jest niesprawiedliwe, Virgil. Tak nie może być. Nie jesteś już w wojsku. Nie mają prawa wzywać cię z powrotem pod broń tylko dlatego, że pojawiło się nowe zagrożenie. Byłeś na froncie cztery lata. Pozwól, żeby ktoś inny się tym zajął.

– Rufi, powiedziałem ci, że już tam nie wrócę... więc tego nie zrobię.

Pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło w taki sam sposób, w jaki robił to każdej nocy, zanim zgasili światło i szli spać. Przyciągnął do siebie jej maleńką postać, a jej ciepło i łagodność sprawiły, że poczuł się lepiej. Gdy tak leżała obok niego, potarła palcem jego rozległą, postrzępioną bliznę, biegnącą od szyi aż po pępek, a potem dotknęła kła zerglinga, który nosił na rzemyku wykonanym ze skóry skaleta.

– Nienawidzę tego. Wiesz, jak bardzo nie lubię, gdy masz to na sobie w łóżku. Drapie mnie... zdejmij go.

Uśmiechnął się. – Dobrze, zdejmę – odłożył kł zerglinga na nocny stolik.

– Jutro wyjeżdżamy... To wszystko będzie należało do przeszłości. Zresztą nie myśl, że się nie poświęcam, Virgil. Też muszę zacząć wszystko od nowa. Zostawić moich przyjaciół, rodzinę. Tatę.

– Wiem.

– Teraz idź spać, ty wielki głuptasie!

Odwróciła się na drugi bok, a Virgil utkwiał wzrok w wiatraku na suficie. Śmigła kręciły się w kółko, rzucając podłużne cienie na ciemne ściany, rozświetlone żółtą poświatą księżycy. Pomyślał o nowym życiu, jakie oferowała mu Rufi. Wybawienie od wszystkiego, co przeszedł. Zastanawiał się, czy po tym, jak ktoś stanął naprzeciw zergów, stracił przyjaciół w starciach z zerglingami i spojrzał w ich puste, posępne ślepie, jest w ogóle możliwe usunięcie ich z głębokich zakamarków własnej duszy.

Oglądanie doniesień UNN przyprawiało go o dreszcze, ale nie mógł przestać. Wstał o świcie i od tamtej pory siedział wpatrzony w ekran, popijając przegotowaną kawę. Kiedy Rufi weszła do kuchni, zdążył wypić prawie cały dzbanek.

– Po co to oglądasz, Virgil?

– Nie chcesz wiedzieć, co tam się dzieje? Musimy się upewnić, że w ogóle możemy jeszcze znaleźć jakiś wolny kurs. Trwa wojna, kochanie.

Na ekranie widać było nagrania z tej wojny. Rzeź, wśród której krążownik rozbija się o drapacz chmur, otoczony przez rój nurkujących mutalisków, plujących pociskami w płonący, spowity dymem kadłub. Paski tekstu zajmowały całą dolną część ekranu. Nie zawierały żadnej dobrej wiadomości i prześcigały się w podawaniu zatrważających danych o stratach w ludziach, zaatakowanych planetach i ofiarach. Bez wątpienia trwała wojna.

– Matko... – Rufi zasłoniła usta obiema rękami. Nawet z rana, z potarganymi włosami i rozmazanym tuszem do rzęs, była stworzeniem o delikatnej i pełnej wdzięku urodzie. – To straszne.

– Bez dwóch zdań, kochanie.

– Dzwonię do taty. Powiedział, że nasze podrobione dokumenty będą gotowe późnym popołudniem.

– Twój ojciec wiele ryzykuje. Wygodne posady rządowe, jak ta, którą ma teraz, nie trafiają się każdego dnia.

– Nie sądzisz, że jego córka i przyszły zięć są warci podjęcia ryzyka?

Kiwnął głową, odwracając się w kierunku ekranu. Robot telewizyjny filmował wrzeszczącego reportera, biegnącego ulicą.

– Kręęć! – Virgil zobaczył, jak wyłaniają się zza rogu i chmarą pędzą w dół, w kierunku dziennikarza i robota. Zerglingi były niezliczone i tworzyły mieszaninę długich szponów, chrzęszczących o ściany pancerzy i martwych, pozbawionych uczuć ślepi. Coraz bliżej. BLIŻEJ.

Transmisję szybko przerwał Donny Vermillion, najbardziej znany prezenter wiadomości w sieci UNN, który pojawił się na antenie, zanim zerglingi wypełniły cały obraz z kamery robota. Był błądy jak ściana i nie za bardzo radził sobie z ukryciem odrazy na wieść o brutalnej śmierci kolegi.

– Czy on....

– Tak – Virgil lakonicznie uprzedził jej oczywiste pytanie. – Dzwonisz do taty?

– T-t-tak – odpowiedziała, wychodząc z kuchni.

Virgil upił łyk kawy, a w myślach zobaczył obraz zbitych w gęstą gromadę zerglingów, pędzących ulicą na złamanie karku. Przypomniało mu to sytuację w okopach wiele lat temu. Odetchnął ciężko i głęboko, pozwalając, aby całe powietrze wydostało się z płuc, zanim zamknie oczy. Trwała wojna.

Zerglingi dorwały Albiego w Kanionach Długich Cieni na Asterii, podczas jednego z słynnych zachodów słońca w odcieniach szafranu.

Albi był wielkim i niezbyt bystrym resocjalem o anielskim uśmiechu, który pojawiał się jedynie u osób po zabiegu zamiany i korekty wspomnień. Nie przeszkadzało to jednak Virgilowi, Birchowi, Dave'owi, ani reszcie żołnierzy ze szwadronu Rho. Jak na resocjala, nie był taki zły. Nie tylko był z niego kawał dobrego marine, ale sprzyjało mu niebywałe szczęście. Tak jak większość jemu podobnych, walczył na pierwszej linii, oko w oko z chmarami zergów, a jego zadaniem było odparcie ich pierwszego ataku. Widział i przetrwał więcej starć podczas swoich czterech lat służby – najpierw w korpusie Konfederacji, potem w oddziałach Dominionum – niż większość żołnierzy w czasie całego życia... i w jakiś sposób zawsze powracał z frontu, w zbryzganym posoką pancerzu CMC i z tym wielkim, głupawym uśmiechem na twarzy.

Podczas przestoju w walkach Albi opowiadał, jak dorastał na wsi, na największym kontynencie Halcjonu. Wspominał piękne zielone wzgórza, pokryte wysoką trawą, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność pod błękitnym niebem pełnym małych, puszystych chmur. Mówił o gromadzie szczeniąt, które chodziły za nim gdziekolwiek by nie poszedł, merdając ogonami, i podkreślał, jak bardzo lubił, gdy lizały go po twarzy swoimi ciepłymi, wilgotnymi językami w leniwe popołudnia, kiedy przysiadł w cieniu konarów banyana. To było sielankowe dzieciństwo, za którym tęsknił. Właśnie dlatego walczył – aby inni mogli cieszyć się chwilami, jakie pamiętał; aby ludzkość mogła przetrwać zagrożenie ze strony zergów, protosów i kogokolwiek, kto stanąłby terranom na drodze.

Oczywiście były to sztuczne wspomnienia, wszczepione w komorze resocjalizacyjnej na Norrisie IV. Każdy w szwadronie Rho o tym wiedział i słyszał już kiedyś identyczne opowieści od innych resocjali. Ale nikt nigdy nie powiedział w oddziale złego słowa o tym łagodnym gigancie lub jego fikcyjnej przeszłości. W trakcie wypadu rekreacyjnego na księżycu Bachusa, podczas wizyty w barze „Niegrzeczny Kociak”, jeden z szeregowców z oddziału Alfa, który miał za dużo umojańskich zamków błyskawicznych, próbował uzmysłowić Albiemu, że te wspomnienia były fałszywe. Być może dlatego nie zauważył nadchodzącego ciosu w brzuch od Virgila, który zainicjował bójkę pomiędzy marines. Sierżant chciał, żeby wspomnienia Albiego należały tylko do niego, niezależnie od tego, czy były fikcyjne, czy nie. Były jedyną odskocznią, która zapewniała siłaczowi wytchnienie od okropieństw, jakich był świadkiem, gdy co drugi dzień przebywał na polu bitwy. Nie zamierzał dopuścić, aby ktokolwiek poddawał je w wątpliwość.

Na ulicach Nefora II Caine i Albi spotkali kobietę, która na widok wielkiego resocjala zaczęła wrzeszczeć i wskazywać na niego palcem. – Rzeźnik! Mój boże, to Rzeźnik z Pridewater! Co on tu robi?! Zatrzymajcie go! Ktoś musi go zatrzymać! Kobietą natychmiast zajęły się lokalne służby porządkowe. Ani Caine, ani Albi nie dowiedzieli się, co spowodowało jej reakcję.

Gdy wiele tygodni później incydent wciąż nie dawał mu spokoju, sierżant postanowił wyszukać więcej informacji na temat przeszłości swojego urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą żołnierza. To właśnie wtedy Caine dowiedział się rzeczy, których lepiej było nie wiedzieć, gdy miało się do czynienia z zesocjalizowanymi marines. Albi, opowiadający o radosnych chwilach ze szczeniakami oraz pięknie wzgórz rozciągających się aż po horyzont, był znany również jako „Rzeźnik z Pridewater”, który na przestrzeni dziesięciu lat popełnił serię morderstw w dzielnicach biedoty w stolicy. Wstawił się torturowaniem swoich ofiar i czerpaniem przyjemności z ich pełnych bólu wrzasków, kiedy utrzymywał je przy życiu przez wiele dni. Zdjęcia, jakie załączono do informacji, mroziły krew w żyłach. Wtedy to Caine zrozumiał, skąd brał się szaf, w jaki wpadał Albi na polu walki. Mimo to, za każdym razem, gdy oczy

resocjala zaczynały błyszczeć z radości i opowiadał o gładkim, beżowym futerku maleńkich szczeniaków, które szczypały go w ręce swoimi rosnącymi ząbkami albo wywoływały gęsią skórkę swoimi wilgotnymi noskami, Caine mógł tylko myśleć o tym, jak wielkim sukcesem był program resocjalizacji, będący w stanie przywrócić człowieczeństwo nawet najgorszym osobnikom.

Kiedy zerglingi dopadły Albiego, marine tonął po kostki w gęstej, fioletowej biomasie. Szwadron Rho wkroczył do Kanionów Długich Cieni z oddziałem wypalaczy, dysponując wsparciem goliatów i ciężkiej artylerii z czołgów oblężniczych. Przyszli „pozamiatać”, jak ujął to Caine. Zergi zostały odparte i zepchnięte w głąb kanionów, do ukrytego pomiędzy nimi skupiska uli. Dopóki na Asterii istniał co najmniej jeden ul, nie można było liczyć na to, że przestaną atakować. Uderzenie zakończyło się wielkim sukcesem. Zwęglone szkielety hydalisków zapadły się w biomasę, a z niecek rozrodczych wypływały ścierwa larw. Wylęgarnie i inne budowle rozpadły się przy akompaniamencie eksplozji bioplazmy.

Grzmiące odgłosy wystrzałów z czołgów oblężniczych wstrząsały pancerzem CMC Albiego. Szedł – jak zwykle – na czele ataku, na samej szpicy oddziałów bojowych, prowadząc natarcie w głąb skupiska uli. Nie wydawało się, aby przy życiu pozostało wiele zergów – większość była witana ogniem z automatycznych działek goliatów. Kiedy Albi opuścił karabin Gaussa, aby przyjrzeć się rzezi, jaką zgotował zergom razem z kumplami z oddziału, nie sądził, że trzeba się było czymś specjalnie przejmować. Ich oczom ukazał się wspaniały widok, który ucieszyłby każdego terranina. Żyjące istoty, jakimi były budowle zergów, zostały rozdarte na pół i wzajemnie obryzgane organicznymi fragmentami, a ich dygoczące i pulsujące żyły wystawały na powierzchnię, opryskując ziemię gęstą, krwistą wydzieliną. Tak wyglądało zwycięstwo. Albi poczuł się dumny.

Zerglingi wypadły z pobliskiej niecki rozrodczej, wydając z siebie kakofonię wściekłych odgłosów, które w większości zignorowano. Ani Albi, ani nikt inny ich nie zauważył. Złote światło zachodu słońca, z jakiego sływał kanion, zabarwiło wszystko kolorami stłumionej sepii, a cieszące się złą sławą cienie zaczęły torować sobie drogę przez biomasę. Taki widok musiał trafić w gusta urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą szeregowca. Migoczące w świetle cząsteczki pyłu wydawały się mu przypominać liście, niesione przez wiosenną bryzę podczas jego zmyślonych lat młodości na wsi.

Gdy leciał twarzą w biomasę, nie wiedział nawet, co go uderzyło. Zerglingi rzuciły się na niego, dźgając i tnąc pancerz, rozcinając i wyrывая wnętrzości, niczym dzikie zwierzęta, które wyszły na żer i walczyły o najlepszą pozycję. Wyglądało to tak, jakby sprawiało im to radość i chciały się upewnić, że każdy z watahy zatopił swoje szpony w krwistej brei.

Kiedy walka dobiegła końca z „Rzeźnika z Pridewater” nie pozostała nawet chrząstka. Był rozległą plamą na fioletowej biomasie, niemalże rodem z testu Rorschacha – wspomnieniem, które wryło się w pamięć tych, którzy służyli u jego boku.

– Mógłbyś zająć się uprawą. Na Shiloh mają świetną politykę rolną. – powiedziała Rufi, wciskając do swojego worka podróżnego bluzkę w kolorze lawendy.

– To teraz mamy być rolnikami?

– Jasne, czemu nie? – jej śmiech brzmiał jak muzyka. – Wygląda mi to na całkiem fajne życie, nie uważasz?

Virgil podszedł do szafy i zerwał koszulkę z wieszaka. Czekala, aż coś powie. Powoli wyciągnął wisiołek z kołnierzyka, rzucił go na bok, a następnie włożył koszulkę do torby.

– No więc?

Na jego twarzy pojawił się szarmancki uśmiech, który kiedyś sprawił, że jej się spodobał – pomimo blizn i stoickiego usposobienia. – Bycie rolnikiem to fajny pomysł... uczciwa praca... będziesz moją małą żoną farmera?

– No przecież dobrze wiesz. Pomyśl Virgil – otwarta przestrzeń, własna uprawa żywności. Nasze dzieci... jeżeli oczywiście będziemy je mieć... nasze dzieci mogłyby dorastać na świeżym powietrzu, a potem odziedziczyć całą tę ziemię.

– Myślisz, że mamy wystarczająco kredytów, aby kupić dużo ziemi?

– Na Shiloh wszystko kosztuje grosze.

– No jasne. A jak myślisz, dlaczego? – to nie było pytanie. To było stwierdzenie faktu.

Jej promienny uśmiech zmienił się w marsową minę. – Dlaczego tak mówisz? Ja... ja się staram, Virgil. Naprawdę.

Podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie. Chciała się odsunąć, ale po chwili znowu zdecydowanie ją chwycił. – Posłuchaj, maleńka. Będę twoim mężem farmerem, będziemy mieli dzieci, o których ciągle wspominasz, wiedząc spokojne życie w miejscu, gdzie będziemy znali wszystkich naszych sąsiadów, a ja...

– Nigdy nie wspomnisz o zerglingach lub... szwadronie Rho?

Ścisnął ją mocno. – Dlaczego teraz ty tak mówisz? Korpus zawsze będzie częścią mnie, Ru.

Nieważne, jak bardzo się do siebie zbliżyli przez ostatnie lata – między nimi zawsze była przepaść. Rufi w żaden sposób nie mogła pojąć, przez co przeszedł.

– Chcę przez to powiedzieć, że nie możesz im pozwolić, aby byli panami twojego życia – powiedziała.

– Wcale tak nie robię.

Spojrzała mu w oczy. Na jej ustach znów zawitał uśmiech, sprawiając, że twarz zaokrągliła się niczym balonik z helem. – Będę żoną farmera.

Pocałował ją łagodnie. – Cieszę się z tej szansy na rozpoczęcie nowego życia. Naprawdę.

– Och! Muszę lecieć. Identyfikatory powinny być już gotowe. Na panu, mój przyszły mężu i mieszkańcu Shiloh, spoczywa obowiązek uprzątnięcia tej szafy i spakowania się zanim wrócę.

Virgil puścił ją i podszedł do mebla. Zapalił światło i ukląkł. Podniósł stertę koszul. Pod nim leżała zakurzona, metalowa skrzynka.

– Nie możesz tego wziąć ze sobą, Virg.

– Wiem.

– Musisz się pozbyć także tego, co jest w środku, wiesz? Trzeba zniszczyć wszystkie dowody tego, kim byliśmy. Słyszałeś, co mówił tata.

– Wiem.

– Wiem, że to nie jest łatwe.

– No nie jest.

Kiedy wyszła, spojrzał na skrzynkę i otworzył ją. Wraz ze stęchłą, wilgotną wonią pojawiła się kolejna fala wspomnień. Nie otwierał jej od lat. W środku znajdowały się medale, z których kiedyś był bardzo dumny, teraz będące skupiskiem kurzu, wyschnięte cygaro, kolec hipersoniczny oraz jeden z nieposiadających licencji smartfonów Irmschera. Nagle poczuł coś lepkiego. Odruchowo wzdrygnął się i cofnął rękę. *Biomasa!* Oczywiście to nie była biomasa, z czego zdał sobie sprawę dopiero po chwili.

– Dave – wypowiedział to imię z ciężkim westchnieniem, wyciągając znalezisko na światło dzienne. Była nim na wpół zużyta kostka niebieskiego wosku... do deski odrzutowej. Virgil podniósł ją do nosa i wciągnął głęboko powietrze. Bogaty zapach o lekkiej, orzechowej nucie przywołał wspomnienia, od których chciał uciec.

Zerglingi dopadły Dave'a w jego własnym łóżku, gdy odsypiał pijacką noc spędzoną na grze w pokera. Czasami tak bywało.

Dave „Wielka Fala” pochodził z wyspy Santori na Miranarze. Był członkiem „Wrzeszczących Szóstek” – klubu surfingowego słynącego z ujeżdżania na deskach odrzutowych wysokich jak góry fal, które ścierały na proch wybrzeża Santori, a przy okazji napędzały turbiny hydroelektryczne dostarczające energię do miast na całej planecie. Naukowcy twierdzili, że fale takiej wielkości wynikają z jednoczesnego oddziaływania grawitacyjnego trzech księżyców Miranaru, co było uznawane za doskonałe uwarunkowanie przyrodnicze. Szanse na to, aby tego rodzaju zjawisko wystąpiło gdzie indziej, były nadzwyczaj znikome.

„Wrzeszczące Szóstki” były znane z dostosowywania się do zmiennej pogody. Zjeżdżały się na wyspiarski kontynent zimą, kiedy warunki były najbardziej sprzyjające. Właśnie o tej porze roku martwe fale były największe – z oceanu wyrastały wysokie na trzydzieści do sześćdziesięciu metrów mroczne szczyty,

będące swoistymi heraldami zniszczenia. W położonych wzdłuż wybrzeża miastach, które opierały się gniewowi fal, kłębili się przybyli z całego systemu surferzy z deskami odrzutowymi. Było ich pełno zarówno na plażach, jak i w szpitalach i kostnicach, pękających w szwach od ciał niedoszłych pogromców oceanu. To właśnie jeden z nich sprawił, że Dave wylądował w marines.

– Gdyby nie te zaplute gnojki, nie siedziałbym tutaj z takimi złamasami jak wy – zwykł mówić Virgilowi, Birchowi lub komukolwiek ze szwadronu Rho, kto był się w pobliżu. – Macie szczęście, że jestem w gorącej wodzie kąpany.

Marines Dominionum bardzo aktywnie prowadzili nabór na planetach więziennych w całym sektorze. To właśnie na jednej z nich znaleźli Dave'a, który rzeczywiście był w gorącej wodzie kąpany. W barze „Metoda” – podwodnym punkcie zapalnym położonym sześć kilometrów pod poziomem oceanu, a zarazem jednym z najczęściej odwiedzanych przez surferów odrzutowych lokali na planecie – Dave „Wielka Fala” wpadł na kilku turystów obcesowo przystawiających się do jednej z lokalnych dziewczyn.

– Brachu, byłem niczym rycerz w lśniącej zbroi... Podszedłem do tych dzieciaków i powiedziałem im, czego się mogą spodziewać, jeśli będą zadzierać z mieszkańcami Santori.

Na słowach by się skończyło, gdyby sytuacja nie wymknęła się Dave'owi spod kontroli. Kilka tulipanów z butelek zrobiło swoje – bar spłynął krwią i konieczne było wezwanie jednostki medycznej, aby zabrała rannych. Swego czasu Dave był chudym, kościstym punkiem-surferem z długimi dreadami i świeżymi, wyspiarskimi tatuażami. Ludzi jego pokroju bywalcy więzień Dominionum nazywają „świeżym mięsem”. Gdy został skazany, przedstawiciel Dominionum odpowiedzialny za nabór – podziwiając usposobienie, które doprowadziło do hospitalizacji tak wielu osób – złożył mu propozycję nie do odrzucenia: dziesięć lat lojalnej służby na rzecz imperatora Mengska lub czterdzieści lat ciężkich robót w więzieniu. W odpowiedzi usłyszał:

– Czy to oznacza, że muszę ściąć dredy?

Choć wiele go to kosztowało, musiał się ich pozbyć, po czym odleciał do obozu szkoleniowego. Dzięki kilku terapiom stymulantami i sterydami zyskał dwadzieścia kilo mięśni i typowe dla członków szwadronu Rho zamiłowanie do pokera, po czym trafił na pierwszą linię walki w Wojnie Szczepów. Rekruci z wyrokami nie dostawali przepustek na wyjazdy rekreacyjne, przez co butelka Scotty Bolgersa i gra w karty były jego jedynymi sposobami na spędzenie wolnego czasu.

Tęsknił za dniami spędzonymi na falach. Brakowało mu momentów, w których przecinał na pół szare bałwany wielkości budynku, wznosząc się coraz wyżej dzięki desce z napędem jonowym, a jego dredy – jego ścięte dredy – powiewały na wietrze. Aby to sobie zrekompensować, trzymał tabliczkę wosku do desek odrzutowych „Mr Snorggs” w swojej szafce i w chwilach wolnych od walki zaciągał się jej zapachem, nie przejmując się komentarzami Virgila, Bircha lub innych marines, którzy się z niego nabijali. Wiedział, że jeżeli dotrwa do końca dziesięcioletniego okresu służby, nie minie chwila i znów będzie sunął w zimie po falach na Santori.

Zerglingi dopadły Dave'a w koszarach podczas awarii wieży zwiadowczej – grupa potworów wtargnęła w szaleńczym biegu do bazy na Seti. Dave był pijany jak bela i ze snu nie wyrwał go nawet dźwięk alarmów oraz odgłos wystrzeliwanych kolców hipersonicznych. Spał, gdy zergi przebiły się przez bramy bezpieczeństwa i wdarły do koszar. Nie obudził się nawet wtedy, gdy jeden ze stworów wskoczył na niego, a impet uderzenia wstrząsnął całym łóżkiem.

Kiedy otworzył oczy, wciąż upojony alkoholem, spojrzął w oczy śmierci wcielonej – zerglinga z grymasem na pysku godnym kota z Cheshire, który siłą otwierał mu usta. Zdążył jeszcze poczuć ból, jaki zadawały mu szpony wbijające się raz za razem w jego ciało, oraz zobaczyć wypływające z brzucha wnętrzności, przypominające ścięte dawno temu dredy.

Virgilowi i Birchowi udało się zastrzelić zerglinga, gdy jeszcze pastwił się nad Davem. Przynajmniej dało im to trochę satysfakcji.

Virgil spojrzął na leżące na ziemi dwie torby, zawierające cały jego dobytek, z jakim miał rozpocząć nowe życie farmera, ojca, albo obu jednocześnie. Wszystko inne wyrzucili. Był sam. W ich małym mieszkaniu panowała ogłuszająca cisza. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział zerglingi, hydaliski i mutaliski, a także fragmenty wiadomości z doniesieniami o rzezi i coraz większej liczbie ofiar. Ale w większości przypadków widział zerglingi, ponieważ to właśnie one pojawiały się pierwsze i w największych liczbach.

Poderwał się nagle, otwierając szeroko oczy, gdy Rufi otworzyła drzwi wejściowe. Jej twarz znaczyły długie, przypominające przeźroczyste żyły pasma łez. Wytarła nos w rękaw. Pomyślał, że słodko to wyglądało.

– Och, Ru, wszystko dobrze?

– Po prostu ciężko mi się pożegnać z tym miejscem... bardzo ciężko – wstał i objął ją, wywołując uśmiech na jej twarzy. – Tata mówi, że może spróbować nas odwiedzić, kiedy sytuacja będzie spokojniejsza. Może za rok lub dwa. Sądzi, że mógłby przyjechać pod fałszywym nazwiskiem. Ja... ja jeszcze go zobaczę.

– Masz identyfikatory?

Wyrwała się, kiwając głową, i zaczęła grzebać w swojej pękającej w szwach torebce. Wyciągnęła dwie holokarty zawierające cyfrowe dowody osobiste, od jakiegoś czasu stosowane na Shiloh, i wręczyła mu jedną z nich. Virgil nacisnął mały przycisk i cienka karta wyświetliła holoprojekcję. Twarz się zgadzała, ale informacje już nie. W powietrzu obracał się trójwymiarowy, holograficzny obraz jego głowy, a obok niego przesuwali się kolejne wiersze danych osobowych. Rufi przygryzła wargi, zastanawiając się, jak zareaguje.

– Derek Dayton? – powiedział w końcu. – Brzmi jak postać z filmu o superbohaterach.

– Wiesz, ja jestem Jossie Thomas... Niezbyt ładnie... No i co gorsza chodziłam do szkoły nauk plazmowych. Nacisnęła przycisk na swoim identyfikatorze i wyświetlił się trójwymiarowy model jej

głowy. – Mój wahadłowiec odlatuje za godzinę, twój za dwie. Tata tak wszystko przygotował, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jego zdaniem zanim wylądujemy na Shiloh nie powinniśmy dawać nikomu powodów do przypuszczeń, że się znamy. Powiedział, że powinniśmy się spotkać na miejscu... może w porcie gwiazdowym... udając, że widzimy się po raz pierwszy.

– Coś mi się wydaje, że od tej pory będziemy wiele udawać.

– Najwyraźniej... Powinam już iść, Virgil... – roześmiała się radośnie, po raz pierwszy od jakiegoś czasu.

– To znaczy Derek.

– Chodź do mnie, Jossie – pocałował ją w czoło, tak jak zawsze to robił. – Kocham cię. Wiesz o tym.

– Wiem – pocałowała go w usta, długo i namiętnie, a co najważniejsze – ich ciała przyłgnęły do siebie. Najważniejsza była ich bliskość. W końcu, po krótkiej chwili, która wydawała się wiecznością, puściła go.

– Twój wahadłowiec ma numer 3801. Nie spóźnij się! Wprowadzono dodatkowe środki bezpieczeństwa ze względu na zagrożenie atakiem zergów.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? – uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Mnie o to nie pytaj – roześmiała się. – Do zobaczenia na miejscu.

Po chwili już jej nie było – wyszła z mieszkania, zostawiając na dobre ich całe dotychczasowe życie.

Virgil usiadł na podłodze. Przez godzinę nic nie robił, wpatrując się w brudną ścianę i po raz pierwszy od dłuższego czasu o niczym nie myśląc. Gdy nadszedł odpowiedni moment wstał, podniósł torby i podszedł do drzwi. Ale coś go zatrzymało. Czegoś brakowało. Położył torby na podłodze i rozejrzał się po mieszkaniu. Jeszcze nigdy nie było tak puste. Zniknął zapach, który był mieszanką ich wspólnego życia. Została tylko pusta, ponura przestrzeń – jałowy krajobraz rzeczy minionych.

Zanim wyszedł postanowił jeszcze raz rzucić okiem na mieszkanie, aby upewnić się, że o niczym nie zapomniał.

Gdy tylko wkroczył do sypialni, od razu to zobaczył. Na stoliku nocnym leżał kiel zerglinga. Podniósł go i przesunął palcem po jego ząbkowanej krawędzi. Wciąż była tak ostra, że nawet nie poczuł, jak przecina mu skórę. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy po ręce zaczęła mu spływać stróżka krwi.

Zerglingi dopadły Bircha, kiedy rój zergów zalał bazę terran na Uronie Sigmie. Po raz kolejny statki ewakuacyjne się spóźniały – jak zawsze, gdy były potrzebne.

Birch był kiedyś licealną gwiazdą autodemolki z Shiloh – poplamionym tłuszczem maniakiem samochodów, który nie znał się na niczym innym. Autodemolka była niezwykle brutalnym sportem, jednym z tych, które rodzice starali się bezskutecznie zabronić w szkołach. Podobnie jak w przypadku kierowców „derby demolki” na Starej Ziemi, uczestnicy autodemolki budowali swoje pojazdy od podstaw, a następnie wykorzystywali je do „wyeliminowania” rywali. Była to walka w tempie stu

dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę na syrkim żwirze, która trwała dopóki na placu boju nie pozostał ostatni zawodnik. Wygrywał samochód, który wykluczył z gry jak najwięcej przeciwników (i nadal był w stanie się poruszać). Każdego roku dziesiątki młodych mężczyzn, a sporadycznie także kobiet, trafiało do szpitala z poważnymi poparzeniami, złamaniami i stłuczeniami. Niektórzy z nich nigdy go już nie opuszczali. Birch był najlepszy. Nie miał sobie równych. Autodemolka była całym jego życiem. Poza szkołą spędzał całe dnie majstrując przy silnikach samochodów i myśląc wyłącznie o powrocie na arenę. Do niego należał licealny rekord największej liczby wyeliminowanych przeciwników, a na dodatek nigdy nie trafił do szpitala z powodu odniesionych urazów. Przez jakiś czas był lokalną legendą.

Ale gdy tylko zdał maturę, dopadła go depresja. Przestał być sławny, uchwały pochwały i nie czuł już cotygodniowego przyływu adrenaliny. Nigdy nie miał najlepszych ocen, a więc zaczął szukać pracy w jedynym zawodzie, na jakim się znał i został mechanikiem. Po dwóch latach majstrowania przy samochodach, transportowcach i sępach, wszystkie cheerleaderki, które pamiętały czasy jego świetności, przeniosły się na inne planety lub rozpoczęły nowy etap w życiu. Jego uczestnictwo w zawodach po skończeniu szkoły spotykało się z coraz mniejszym entuzjazmem ze strony nowego pokolenia maniaków samochodowych, z których wszyscy odgrązali się, że pobiją rekordy Bircha. Z dnia na dzień jego małomiasteczkowa sława stała się wspomnieniem.

Podziemne ligi autodemolki były kontrolowane przez kryminalistów. Wszyscy o tym wiedzieli. Każdy zdawał sobie sprawę, że wejście z nimi w konszachty było równoznaczne z ustawianiem meczy, utratą stabilności finansowej i poczuciem hańby. Birchowi brakowało przyływów adrenaliny, ryku silników, niewygodnych, trzęsących się foteli – z których korzystał, bo były tanie – oraz momentów, kiedy bicie jego serca nagle stawało się szybsze, świat dla niego zniknął, a on skupiał się tylko na tym, by na pełnych obrotach uderzyć w rywala. Ani myślał jednak rzucić swoje rekordy na pastwę widzimisię jakiegoś bossa świata przestępczego, który w imię poczynionych zakładów mógł od niego zażądać od czasu do czasu, aby przegrał. Birch szczycił się tym, w czym był dobry, i nie wyobrażał sobie, że mógł zrezygnować z wyścigów.

Jednak brakowało mu przyływu adrenaliny. Tęsknił za akcją, kiedy w każdej chwili mogło rozpętać się prawdziwe piekło, a jedynym, co mogło się temu przeciwstawić, była jego koncentracja. Właśnie ten rodzaj skupienia w samym środku szarży walki trzymał go przy życiu. Gdy go brakowało, czuł się jak ktoś zupełnie inny – martwy i zbędny. Jego uwagę przykuła holoreklama Korpusu Marines Dominionum. Porywający głos imperatora Mengska towarzyszący obrazom zakutych w neostal żołnierzy strzelających z ciężkich karabinów Gaussa sprawił, że w jego głowie zaświtał pomysł opuszczenia Shiloh i wstąpienia do marines. We wszechświecie pojawiło się nowe zagrożenie – może mógł stawić mu czoło.

Kilka dni później był w obozie szkoleniowym na Turaxis II. Z początku, zważywszy na swoją przeszłość, myślał, że zostanie pilotem sępa lub czołgu, ale w korpusie ich nie brakowało. Potrzebowali żołnierzy frontowych, piechurów, mięsa armatniego.

Virgil Caine i Birch od razu przypadli sobie do gustu. Caine zyskał lojalnego współnika, który pomagał wykonywać jego rozkazy, a Birch po raz pierwszy od czasów autodemolki znalazł prawdziwego przyjaciela. Przesiadali do późna w nocy przy butelkach Scotty'ego Bolgersa, podejmując tematy, o

których mogli rozmawiać tylko towarzysze broni. Caine otworzył się na młodszego żołnierza, wyznając, że nigdy nie liczył na znalezienie kobiety, która by go pokochała, że za bardzo zżył się z Korpusem, a instynkt kobiety zawsze wyczuje tego rodzaju więź. Birch starał się ze wszystkich sił odwieść go od takiego sposobu myślenia, ale obaj wiedzieli, że po części była to prawda. Z kolei były mechanik powiedział Caine'owi, iż nigdy by nie przypuszczał, że raz jeszcze poczuje się spełniony jak za szkolnych czasów oraz że bał się tego jak cholera.

Kiedy zerglingi dopadły Bircha, zergi zdążyły już zalać całą bazę, a większość budynków trawił ogień, wzniecony przez bombardowanie nurkujących mutalisków. Virgil i Birch biegli w kierunku punktu ewakuacji tak szybko, na ile pozwalały im pancerze CMC. Dowództwo powiadomiło ich, że statki transportowe były już w drodze. Ale dowództwo miało w zwyczaju powiadamiać o wielu rzeczach.

– Gdzie do cholery są te przeklęte statki ewakuacyjne? – Virgil wrzasnął do komunikatora w momencie, gdy ogłuszający wybuch rozerwał ziemię obok niego i obryzgał go piachem.

– Nikt nie odpowiada – powiedział Birch, odwracając się i strzelając na oślep. – Mój Boże – szepnął z zaskoczenia. Żadna rzecz we wszechświecie nie wzbudzała w człowieku większego przerażenia niż widok hordy zerglingów zalewającej bazę. Były ich setki. Skakały i szarżowały na terran, rozdzierając ludzi na kawałki i roznosząc w pył budynki. Były niezliczone i dysponowały przygniatającą siłą uderzeniową. Tworzyły biologiczne morze szponów, pazurów i kłów w barwach stłumionych brązów i czerwieni. Były rojem potworów o martwych ślepiach.

Birch strzelał nadal!

– Wstrzymaj ogień! – rozkazał Virgil. – Naprzód, żołnierzu. Tylko przyciągasz ich uwagę... Przegraliśmy tę bitwę. Biegnij! Do przodu! Dalej!

– Cholera, sierżancie, chcę zabić tych skurczybyków.

– Nie zatrzymuj się!

– Niby czemu? Zostawili nas tu, Virg. Nie ma żadnych statków na horyzoncie. To nasza ostatnia walka.

– To jest rozkaz, Birch... a zresztą, do cholery z rozkazem. Zrób to dla mnie, dla swojego przyjaciela. Zapomnij o stopniach! – Virgil nie powiedział ani słowa więcej. Birch przestał strzelać i bez chwili namysłu zaczął biec w jego kierunku.

Kilka chwil później na linii horyzontu pojawiły się dwa statki transportowe, niczym zabarwiony na czerwono symbol nadziei.

– Nadlatują... nadlatują.

– Biegnij!

Jeden z mutalisków prawie od razu zauważył zbliżającą się pomoc i zaczął ścigać terrańskie statki. Transportowce się rozdzieliły – jeden z nich starał się odwrócić uwagę zerga i zgubić go w pościgu.

Mutalisk poleciał za nim, umożliwiając drugiemu skierowanie się w stronę strefy ewakuacyjnej, skąd Virgil i Birch machali do niego rękoma.

Właz promu ewakuacyjnego opadł w locie, a ze środka dobiegł ich krzyk kobiety: – Wskakujcie i zapinajcie pasy, chłopaki!

Kiedy dwaj marines mieli już skoczyć na pokład, niebo nad nimi rozdarł gwizdzący dźwięk. To nie był odgłos zerga – drugi transportowiec wymknął się spod kontroli i – kręcąc się w powietrzu – leciał prosto na nich, spowity ogniem i dymem. Nie wahając się ani chwili, czekający na nich statek poderwał się, starając się uniknąć mającej nastąpić eksplozji, zmuszając Virgila i Bircha do rozbiegnięcia się w poszukiwaniu osłony.

BUUUUUUM!

Transportowiec rozbił się, wstrząsając ziemią dookoła. Wzdłuż całej strefy lądowania pojawiły się długie pasma płomieni. W powietrzu drugi statek rozpoczął kolejne podejście, szukając odpowiedniego miejsca na przeprowadzenie ewakuacji Virgila i Bircha.

To wtedy usłyszeli znajomy, przerażający świergot, tym razem kilkukrotnie głośniejszy niż zwykle. W ich stronę szarżowało sto, a może nawet pięćset zerglingów.

– Sierżancie, biegnij... Szlag by to, Virg, biegnij!

– Birch, za mną! To rozkaz!

Birch ani myślał go wypełnić. Zamiast tego, odwrócił się i stawiał czoło gromadzie zergów, naciskając na spust tak szybko i tak mocno, jak tylko mógł. Niczym fala rozbijająca się o brzeg, horda zerglingów uderzyła w niego, zwała z nóg i pochłonęła, tak jakby nigdy tam nie stał. Niektóre zatrzymały się, aby rozedrzeć ciało żołnierza, natomiast inne skupiły się na Virgilu. Marine wciąż biegł w stronę transportowca, który w międzyczasie zniżył się na odpowiednią wysokość.

– Szybciej, żołnierzu, biegnij! Nie odwracaj się! – krzyczała pilotka.

Virgil biegł co sił w nogach, choć czuł przemożne pragnienie spojrzenia za siebie, aby po raz ostatni zobaczyć swojego przyjaciela i sprawdzić, czy jeszcze żyje. Wiedział, że to nedorzeczna myśl, ale nadzieja umiera ostatnia. W końcu dobiegł do transportowca i wskoczył do środka.

Ale nie był sam! Jeden z zerglingów poszybował do góry w momencie, gdy statek wzbijał się w powietrze, zacisnął szpon na poręcz i wskoczył na statek zanim właz zdążył się do końca zamknąć.

– *Strzelaj!* To paskudztwo chce dostać się do środka! – pilotka była przerażona. Nie dość, że starała się jak mogła opuścić pole bitwy, to na dodatek miała żywego zerga o krok od siebie. Zerglingi wyglądały wystarczająco strasznie z góry. Z małej odległości były jednak wcieleniem najgorszych koszmarów.

Virgil oparł się o metalową konstrukcję statku. Zerglingowi udało się dostać do środka, po czym rzucił się na niego z niesamowitą szybkością i wzniesionymi do uderzenia szponami.

Z tak małej odległości hipersoniczne kolce z karabinu Virgila zmieniły łeb zerga w wiszącą, zmieloną kupę mięsa, będącą zbitką posoki i kłów. Ale to go nie zatrzymało. Stwór pędził dalej i wbił szpon prosto w klatkę piersiową Virgila, przecinając pancerz CMC i rozrywając znajdujące się pod nim gołe ciało. Virgil wrzasnął z bólu, wypuszczając broń z ręki. Zergling umierał, ale był wciąż na tyle przytomny, że wzniosł szpon do kolejnego, desperackiego uderzenia.

Wtedy właśnie sierżant zareagował, opierając się ciemnościom, które z powodu utraty krwi zaciskały się jak pazury na jego świadomości. Kiedy szpon zaczął zniżać się w ramach drugiego uderzenia, Virgil walnął pięścią w to, co pozostało z pyska zerglinga, rozbijając na kawałki kły i odrzucając od siebie stworzenie. Mobilizując resztki woli, Virgil rzucił się do przodu i zaczął raz po raz uderzać zerglinga z całą mocą wspomaganego pancerza CMC, aż zerg przestał się poruszać, a marine upadł na bok i stracił przytomność.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, zanim obudził się w szpitalu, był widok złamanego kła zerglinga, który ścisnął mocno w swojej zamkniętej w pancernej rękawicy dłoni.

Birch zginął. Szwadron Rho został rozbity w pył podczas ataku na bazę. Tylko Virgil uszedł z życiem.

Virgil obandażował sobie dłoń, zawiesił kiel na szyi i wyszedł z mieszkania. Wiedział, że powinien go zostawić, ponieważ żaden z farmerów lecących na Shiloh nie miał podobnego naszyjnika, ale to było coś, czego nie mógł tak po prostu wyrzucić. Upewnił się, że był dobrze ukryty pod koszulą, tak aby nikt nie mógł go zobaczyć. Ale on wiedział, że tam był.

Ulice były pełne spanikowanych mieszkańców, pędzących w sobie tylko znanym kierunku. Wysoki na dwadzieścia metrów hologram reportera informował o wydarzeniach, jakie miały miejsce w całym systemie. Infografiki pokazywały, jak atak Roju rozszerzał się na kolejne planety. Virgil starał się ich nie oglądać, nie odwracać głowy, skupić się na czym innym.

Kiedy skręcił za róg, zobaczył grupę mężczyzn i kobiet tłoczącą się przed wejściem do punktu naboru Dominium. Ustawiły się dwie kolejki. Jedna była przeznaczona dla „nowych rekrutów”, druga dla „żołnierzy powracających do służby”. Trwała wojna i ludzie chcieli wziąć udział w walce.

Virgil przyspieszył kroku, starając się nie patrzeć na mężczyzn i kobiety wypełniających swój obowiązek ponownego stawienia się do wojska.

Dotarł na przystanek i usiadł na ławce, czekając na następny kurs do portu gwiazdowego Kurtza. Tablica informacyjna podawała, że autobus jest w drodze i dotrze na przystanek za kilka chwil.

Z drugiej strony ulicy Virgil widział transmisję UNN na jednym z ekranów. Imperator Mengsk stał na mównicy obok legendarnego dowódcy, generała Warfielda. Paski informacyjne u dołu ekranu alarmującym tonem podawały rosnące liczby ofiar.

Virgil siedział w ciszy na ławce, ale był pewien, że usłyszał charakterystyczny świergoczący dźwięk. Mógł przysiąc, że dotarł do niego wysoki skowyt zerglinga i odgłos salwy z karabinu, które zagłuszył wybuch. Zamknął oczy tylko po to, aby po chwili zobaczyć setkę pędzących na niego z wzniesionymi szponami zergów – przypominające te, które dopadły Bircha, Dave'a i Irmschera, a także wielu innych towarzyszy broni. To wszystko siedziało w jego głowie. Na zawsze. Nie mógł od tego ucieć. Kiedy otworzył oczy, wiedział, co musi zrobić.

Zza rogu dobiegł go głośny pisk, po czym ukazał się autobus, unoszący się metr nad ziemią. Fala gorąca z jego silników uderzyła Virgila w twarz. Spojrzał do góry. Kierowca otworzył drzwi, żeby go wpuścić. Ale Virgil po prostu siedział na ławce, wsłuchując się w warkot silnika. Przypominał mu odgłos, jaki wydawały sępy, kiedy kierowały się do strefy walki.

– Hej, gościu, będziesz tam siedział cały dzień?

Virgil popatrzył na mężczyznę przez dłuższą chwilę. W końcu wstał. – Nie, proszę pana... przepraszam. Po prostu... chciałem dać odpocząć nogom.

– A weź się wal! Daj odpocząć nogom na ławce, która nie jest częścią przystanku... idioto! – Kierowca odjechał.

Virgil skierował się w stronę, z której przyszedł.

Gdy zbliżał się do punktu naboru Dominion, zatrzymał się przy ulicznym koszu na śmieci. Wyciągnął z kieszeni podrobiony cyfrowy dowód osobisty. To była jego przepustka do innego życia, w którym nie było zerglingów i walki. Przez chwilę wyobraził sobie wspólne życie z Rufi. Uprawiali ziemię na Shiloh, a chichoczące dzieci biegały za nimi. Ich śmiech był równie melodyjny jak ten należący do ich matki. Były to obrazy z życia, jakie kiedyś mogło mieć rację bytu. Z życia obcego sierżantowi marines, który musiał stawić czoło trwającej wojnie.

Wyrzucił fałszywy identyfikator do śmietnika, sięgnął pod koszulę i wyciągnął ułamany kiel zerglinga na wierzch, tak aby każdy mógł go widzieć. To była jego odznaka honorowa, jego ulubiony medal.

Kilka chwil później Virgil stał w kolejce przed punktem naboru Dominion wraz z innymi starymi marines, którzy kiedyś stanęli oko w oko z zergami. Oni rozumieli, co takiego widział i przez co przeszedł. Zdawali sobie sprawę, że nigdy nie będzie taki jak ci, którzy tego nie doświadczyli.

Koniec